

Opis bibliograficzny: Jan Bulhak, *Fotografja artystyczna a krajobraz rodzimy*, „Światłocień”, 1923, z. 2-3, s. 14-17

Uwagi: tekst nieedytowany

Słowa kluczowe: piktorializm, fotografia jako sztuka, krajobraz

Tekst:

(Wykład inauguracyjny na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie w d. 20 listopada 1919 roku).

II

Z chwilą, gdy został określony stosunek fotografii do Sztuki i to w formie, jak mniemam, nie beznadziejnej, zmuszonym się widzę z pewnym żalem opuścić dziedzinę rozważań estetycznych, ażeby, powracając do fotografii, coraz częściej — nie bez przykrości — powtarzać to obce słowo. Rymując tak niewdzięcznie z telegrafem, fonografem i kinematografem, wprowadza nas fotografia pomimo woli w ten bardzo użyteczny, ale jakże mało zajmujący i niepowabny świat mechanicznego szczęścia ludzkiego.

W zestawieniu z malarstwem, rzeźbą i wszelką sztuką sama nazwa fotografii brzmi nieharmonijnie i niedostojnie, i posiada w sobie odcień komicznej jakiejś natychmiastowości, oniemal że brutalny. A co do treści — wystarczy przypomnieć, że kiedy malarz chce się wyrazić jaknajgorzej o obrazach swego kolegi i wystawić mu przyjacielskie świadectwo ubóstwa twórczego, wówczas nazywa jego prace krótko — kolorowemi fotografjami.

Miejmy nadzieję, że nasze przyszłe słownictwo znajdzie jakąś szlachetniejszą i bardziej swojską nazwę dla tego niefortunnego kunsztu, który nie jest tak znów złym, jak się dotąd wydawał. Tę swoją nienajlepszą opinię zawdzięcza on, jak to zresztą zwykle bywa, nie tyle swoim krytykom i wrogom, ile — swym przyjaciółom, sympatykom i wirtuozom, zarówno fachowym, jak amatorskim z Bożej łaski.

Jednak nie będziemy niesprawiedliwi! Jeśli tysiączne rzesze amatorskie doprowadziły fotografię do śmieszności, tak jak zawodowcy doprowadzili ją do potworności, to w tych obydwóch Sodomach i Gomorrach nie zabrakło zbawczych dziesięciu sprawiedliwych, którzy ocalili fotografię i powrócili jej dobre imię. Nie u nas oczywiście, tylko zagranicą.

We Francji, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych, w Niemczech oddawna usiłowano włożyć w tę groteskową nazwę fotografii treść szlachetniejszą i godniejszą, a ostatnie trzydziestolecie stało się widownią olbrzymiego w tym względzie postępu.

Ażeby ocenić całą rozległość przebytej przez nich drogi, uprzytomnić należy, iż wynalazca fotografii po technicznym wydoskonaleniu w połowie zeszłego wieku, trafił odrazu w ręce niepowołane, w zachłanne szpony współczesnego industrializmu, który podówczas zaczął masowo produkować wszelką tandetę i szpetotę, wszechstronnie obrzydząc ludziom życie. Upadło malarstwo, zdegenerowała się pod jego wpływem architektura, zwyrodniała kultura estetyczna wszystkich krajów, cóż przeto dziwnego, że nie oparła się temu niszczącemu samumowi mechanicznemu nowonarodzona fotografia?

Wielkie światowe firmy optyczno-mechaniczne, niby olbrzymia ośmiornica, porwały kamerę i soczewkę w swoje tysiączne skręty, ażeby je przetrawić na piasek bezwartościowych liczmanów. Z wynalazku poważnego i płodnego uczyniono miliony nędznych i błahych zabawek dla bezmyślnej gawiedzi i stworzono tak zwane amatorstwo fotograficzne. Wmówiono w masy, że do rysowania za pomocą fotografii nie potrzeba ani nauki ani talentu, chociaż te oba warunki obowiązywały i obowiązują przy rysowaniu ołówkiem, węglem i kredką. Zamiast utrzymać postępowanie fotograficzne na poziomie poważnej pracy naukowej lub artystycznej, obniżono celowo charakter całego procesu do pozornej łatwości śmiesznie dziecinnej — do naciśnięcia guzika i wypłukania szklanki.

Nie rozszerzam się tu nad bardzo licznymi zasługami badaczy w zakresie teoretycznym, gdyż fotografia naukowa nie jest tematem naszych rozważań. Nie chciałbym także spotkać się z zarzutem potępiania tak zwanego amatorstwa fotograficznego, które miało w jednostkach wybitniejszych bardzo piękne karty w historii rozwoju fotografii artystycznej i jeszcze więcej ich może przysporzyć w przyszłości pod warunkiem, ażeby ci, co się oddają fotografii, prowadzili swą pracę pod hasłem łacińskiego wyrazu „amare” — kochać, nie zaś pod etykietą polskiego „amatora”, który oznacza przeważnie próżniaka i nieuka. Pragnąłbym tylko napiętnować owo dyletanckie zdrobnienie i obniżenie umiejętności fotograficznych, które dało kompanjom handlowym miliony i miljardy, umysłem rozpróżnianym

chwilową, szybko porzuconą zabawkę, a samej fotografii — ową smutną i komiczną sławę, której do dziś dnia pozbyć się nie może — właśnie dla grzechów przeszłości, i to grzechów przeważnie — cudzych. I jeszcze ten uprzykszony kramik fotograficzny, który swoje haniebne piętno wycisnął na całej fotografii zawodowej, wtłaczając ją w najgłębsze nizinę handlarstwa i nieuctwa.

Rozrost techniczny fotografii, popierany gorliwie przez stugębną reklamę potentatów przemysłu był tak nagły i szybki, że całkowicie zaskoczył ludzi uzdolnionych artystycznie, którzy przez czas dłuższy nie mogli się zorientować w tym nowym upominku cywilizacji i albo milczeli, przechodząc mimo, albo w czambuł potępiali.

Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach wyrzekli artyści swoje słowo w tej sprawie, odróżniając od zabawek narzędzie poważne, nawracając z manowców szkodliwych „udoskonaień” fotografii na drogę prostą sposobów prymitywnych a celowych, wiodącą daleko skuteczniej do możliwości wypowiedzenia artystycznego. Jedni zaczęli taką fotografię uprawiać, rozwijać, rozpowszechniać, inni — jęli się jej przyglądać już bez lekceważenia, potem z zainteresowaniem, wreszcie z poważną i chlubną oceną. Potworzyły się liczne stowarzyszenia i kluby „protestujących” i „odszczepieńców”, liczne pracownie, pokazy i salony fotografii malowniczej, pisma, miesięczniki i almanachy jej poświęcone, a te zjednoczone wysiłki zdolniejszych jednostek dały wyniki tak poważne i tak wybitne, że dzisiaj już nikt, znający nieco Francję, Anglię a nawet Niemcy nie może bez posądzenia o nieuctwo odzywać się o fotografii protekcjonalnie i pogardliwie.

Ażeby się odgrodzić od kompromitującego pokrewieństwa ze swą mechaniczną siostrzą, musiał ten nowy kierunek fotografii przybrać, w braku trafniejszego określenia, miano artystycznego czy też malowniczego. We Francji i Anglii nazwał się *la photographie pictoriale*, *the pictorial photography*, *die bildmässige Photographie* (*Lichtbildnerei*) w Niemczech. Posiada już swój almanach gotajski sław pierwszorzędných, imion wysoko cenionych i zasłużonych, prace których, w Ameryce Północnej zwłaszcza, już przed wojną były opłacane nienajgorzej. Wyrugował on blaszaną sztywność i lakierowaną gładkość zawodowego portretu fotograficznego, doprowadzonego przez niepowołane ręce do szczytu bezmyślności i szpetoty. Zastąpił go portretem istotnym, w technice pokrewnym sztukom graficznym, przyjemnym dla oka i poprawnym pod względem walorów i światłocienia, a nierzadko zdążającym śladami wielkich mistrzów pędzla. A w krajobrazie wsi i miast przyniósł takie bogactwo wyrazów i nastrojów, taką mnogość subtelnych podpatrzeć i

uchwyceń, taką pełną gamę walorów graficznych, które mogą przywieść niejednego z średnio obdarzonych malarzy — do poważnego obrachunku sumienia.

Zagranicą przecież roztrząsa się całkiem naturalnie i niekoniecznie w kółku szczupłym i zamkniętym, kto jest lepszym portrecistą w fotografii — Puyo czy Demachy, Dürkoop, Erfurth czy Perscheid, Smith czy Craig Annan, Steichen czy Käsebier. Tam nikt nie potrafi dać takiego portretu dziecięcego, jak Cadby, takiej sceny z życia zwierząt, jak Käthe Hecht, takiej maryny, jak Mortimer, takiego krajobrazu, jak Job, Whitehead, Misonne, Keighley, Horsley Hinton, Hofmeister... Tam znane jest szeroko jedyne w swoim rodzaju trifolium imion: Kühn, Henneberg i Watzek, którzy we trzech wydźwignęli odrazu fotografię na wyżyny Sztuki. Tam się zawsze z pjetyzmem wspomina Oktawjusza Hill'a, praojca portretu artystycznego, który już w roku 1843-cim, więc przeszło 70 lat temu, gdy jeszcze fotografia była w niemowlęcych powijakach, dał portrety i grupy skończenie doskonałe. Był wprawdzie z zawodu malarzem i nie utrudniał mu pracy — rozwój fotografii techniczny, handlarski i amatorski.

To wszystko — na zachodzie — w Europie.

U nas — w Polsce — dopiero teraz nadpływają pierwsze kręgi owego wielkiego rozfalowania. Drżą nieśmiało i znikomo, walcząc z martwością spleśniałego bagniska, które je zakryć i pochłonać usiłuje. Ale one istnieją, wybijają się na wierzch, są coraz liczniejsze i gdyby nie okres powojenny, możeby już niejedno nazwisko wyblęsnęło z dotychczasowego zastoj, wynosząc fotografię polską na przynależne jej wyżyny artyzmu. Zupełnie na przykład niewątpliwa jest poważna przyszłość dwóch imion polskich: w portrecie Marjana Dederki, w krajobrazie Stefana hr. Zyberk-Platera. Teraz, gdy nasze wielkie łany ojczyste, наконец wolne, kipią pracą twórczą i budowniczą we wszystkich dziedzinach życia, wierzymy tem mocniej w przyszły rozkwit tej gałęzi sztuki graficznej i z tą wiarą przystępujemy do pracy na wkszeszonej Batorowej Wszechnicy.

Praca ta nie może mieć przedmiotu wdzięczniejszego i sercom wszystkim bliższego, niż nasz rodzimy krajobraz, wizerunek wsi i miast polskich. To też myśląc o przyszłych naszych studjach ze słuchaczami Wydziału Sztuk Pięknych, chciałbym widzieć ich przede wszystkim pracujących w samej głębi krajobrazu, który nas otacza dokoła, który jest wszędzie na naszej ziemi, nawet tu — w Wilnie; chciałbym ich widzieć wśród naszych pól i lasów, w złocistej słońca pogorzeli, pod błogosławionym błękitem letniego południa.

Jesteśmy tutaj w tem szczęśliwym położeniu społeczeństw pierwotniejszych, nie ostrzyżonych jeszcze i nie utrefionych na cywilizowany szablon zachodni przez Molocha industrializmu, że otacza nas dokoła, zagląda przez nasze okna, wchodzi przez nasze progi — przyroda nieledwie pierwotna w swej dziewiczej świeżości.

Nie szukana przez nas; często lekceważona i zapomniana w natłoku spraw rzekomo ważnych — przyroda przychodzi do nas sama i jak bogacz nędzarzowi rzuca litośnie do naszych skrzynek, i sześcianów mieszkalnych zieloną gałązkę przebaczenia i łaskę słoneczną całych niebios, otwartych w bezgranicza. My jej za to wprawdzie wywdzięczamy się nierzadko błazeńskim przyodziewkiem cyrkowego pajaca albo zgoła warjackim kaftanem bezpieczeństwa, ale ta mądra i dobroczynna wróżka czeka niezrażona, aż się człowiek opamięta, czoła przed nią kornie uchyli, jej wiecznem pięknem oko znużone nasyci. Przed nim roztoczy ona swe nieprzebrane skarby radośnie i hojnie.

Takim, bezcennych klejnotów pełnym Sezamem jest Wilno, takimi są jego okolice, taką, jak długa i szeroka, nasza kraina cała.

W czasach, kiedy w Europie krajobraz kurczy się, karłowacieje i ginie pod okutą gwoździemi stopą fabrykanta i przedsiębiorcy, inżynjera i technika, hotelarza i restauratora, kiedy — w Saksonji naprzykład — napróżnobyśmy „na wsi” szukali samej „wsi”, bo wszędzie jest kolej, szosa, bruk, kamienica, telefon, pocztówka i piwo — tylko nigdzie krajobrazu w stanie nietkniętym, — my, jedni z najuboższych w wątpliwe dobra cywilizacji telefono-kinematograficznej, jesteśmy niezrównanymi bogaczami, magnatami w tem, co stanowi pierwsze prawo i największe szczęście człowieka. My jeszcze mamy prawo samotności wśród rozłogów dzikiej przyrody, w przestworach wielkich pól i w gęstwinach leśnych; prawo swobodnego życia i głębokiego oddychania powietrzem czystem, niezatrutem miazmatami pseudo-cywilizacji; prawo patrzenia się w nieskażone oblicze przyrody i oglądania doskonałego dzieła rąk boskich, nie mizernych i nędznych surogatów form życia, któremi zachwaszcza się od stulecia glob ziemski. I mamy to prawo nie wyjątkowo, na krótkie wakacje gdzieś po odległych szlakach i oazach, nie jako turysta, za drogie pieniądze zwiedzający w pośpiechu dalekie egzotyczne krainy, lecz na codzień, w domu u siebie, w dniu każdym życia, wśród zajęć i rozrywek, nie dając ani kroku w stronę od naszego fraszobliwego uronienia.

Nas jeszcze wśród naszych pól i lasów nie uciska, nie dławi gęsta sieć policyjnych zakazów, tablic i porządków, jaka odrutowała już kraje zachodnie, nam się nie narzucają co

chwila uprzykszenie gromady niedzielnych spacerowiczów, wyjących unisono swe tanie zachwyty, ani piwno-pocztówkowe atrakcje, czyhające w kioskach i szaletach wraz z najpiękniejszym już opatentowanym widokiem, ani drukowana estetyka urzędowych przewodników, rozwożona za grosze kolejkami zębatymi na górskie szczyty i urwiska. Nas nie dręczą szosy swą beznadziejnie nudną prostolinijnością, ani kominy fabryczne nie stoją na straży naszych uniesień szeregiem okopconych policjantów. Nasze miasta nie pęcznią od nadmiaru złotego użycia, wciśniętego w granitowe klatki, nie rozpękają się poza brzegi przyszciami i ropą swych cywilizowanych owrzodzeń, nie zagarniają wiejskich obszarów hałaśliwym i cuchnącym zalewem, — przeciwnie, dają się same pokornie opanowywać przyrodzie, która rozściela nad nimi zielony sztandar zwycięstwa, a kwieciami i majem okrywa troskliwie brudną nędzę łachmanów cywilizacji.

U nas — inaczej. Nasza wieś, nasza ziemia cała — to bezbrzeżne morze, po którym można żeglować bez przeszkód, gdzie się podoba i ile się podoba — z własną busolą i na własną odpowiedzialność.

Pod jednym wszakże warunkiem. Tą busolą musi być — serce. Polskie serce, kochające prawdziwie i głęboko tę ziemię rodzimą.

Bez niego — nasze rzeki i jeziora takie modre i świetliste, zdradzą swe wodne ubóstwo; [s. 17:] nasze polne drogi i ścieżki, przepasujące łąny zbożowe takim cudnie kapryśnem węzowiskiem płowych wstążek ukażą wszystkie swe karkołomne wyrwy, kamienie i wyboje; nasze wiosenne kobierce pól, szmaragdami tkane, nasze złociste jesienne niwy stracą swój urok i wykażą bezsilnie swą oplakaną małą wydajność hektolitrów ziarna; nasze rozszumiałe ostępy jodeł i sosen wyśpiewają tylko jedną tajemnicę — bezładnego i rabunkowego gospodarstwa leśnego.

Bo gdzieindziej — wszędzie prawie na Zachodzie — i słońce jest gorętsze, i góry wyższe, pełniejsze wody i bujniejsze zboża i wobec tamtego bogactwa ziemia nasza, oglądana zimnem okiem turysty lub handlarza, biedną jest i jałową.

I stamtąd — z zachodu — wraz z huczącym łoskotem maszyn i pióropuszcami dymów fabrycznych nadciąga ku nam, zbliża się — uprzemysłowienie, rozrost miast, uregulowanie dróg lądowych i wodnych, a razem z tymi Danajskimi darami zawisa groźba zniekształcenia naszej wsi, wyrok powolnej ale niechybnej zagłady dla jej lirycznego piękna.

Dlatego wołam: z sercem otwartym a okiem czujnym i bacznie idźmy ku naszej ziemi, poznajmy zbliżone jej niewysłowione piękno i utwórzmy je naszą pracą artystyczną, zanim nie zostało zbezczeszczone. Kto zaś ma możność i siły niech pracuje nad jego ratowaniem i zachowaniem dla przyszłości.

Pamiętajmy, że jeśli miasto nowożytnie jest karą i więzieniem, to wieś nasza jeszcze być może błogosławieństwem żywota. Tylko wśród niej znajdziemy przestwór i oddech, swobodę i ukojenie; tylko w niej znajdziemy uroczystą ciszę, w której słyszeć głos Boga i głos własnej duszy; tylko w niej znajdziemy nie liche naśladownictwo bytu, lecz życie prawdziwe, głębokie a barwne, w zgodzie z naturą i w zgodzie z samymi sobą.